

Drzwi zgrzytnęły przeraźliwie, kiedy kazano Justynie przez nie przejść. Zrobiła to niemal z ulgą. Odgrodziła się od harmideru, płaczu, nawoływań, głośnych poleceń, pełnych paniki pytań: „A gdzież to Antoni?”, „Niech Bóg prowadzi...”, „Jak ty sobie, biedaku, będziesz tam żył?”; czy też dobrych rad: „Pamiętaj o czapce, bez niej najłatwiej się zaziębić.”, „Uważaj, żeby cię nie okradli, bo podobno kradną...”. A wszystkich przebiła jakaś wariatka, która darła się jak opętana „Julek! Julek!” i przepychała się przez tłum rozczochrana i bez kapelusza! Jak to wszystko nie pasowało do eleganckich wnętrz Dworca Petersburskiego w Warszawie! Jak bardzo do tego dworca nie pasowali rosyjscy żandarmi, którzy szpalerem obstawili żegnających i żegnanych, a tu, na peronie, wszystkich nachalnie obmacywali wzrokiem. Stała jak inni, spokojnie czekając, kiedy pozwolą im wsiąść do wagonów właśnie wjeżdżającego na tory pociągu.

Złapała

brata za rękaw, jakby w obawie, że się zgubią na samym progu wielkiej wędrówki.

Nagle ten męczący harmider dworcowej poczekalni, ten, od którego właśnie oddzieliły ją zgrzytliwe drzwi, zabrzmiął innymi tonami. Tam, za tymi drzwiami, było wszystko to, czemu Justyna poświęciła swoje siły, dla czego zaryzykowała wolność, a nawet życie. Tam były wszystkie jej myśli, pragnienia. Tam ciągle jeszcze trwało powstanie. A tu? Wiatr targał jej salopkę, przenikliwy chłód wciskał się pod obszerny, znoszony płaszcz. Martwota ciszy przerażała. Przechodząc przez drzwi prowadzące na peron, weszła w świat, w którym nic już od niej nie zależało, w którym była więźniem, banitą gnany rozkazem w ogromne, śnieżne przestrzenie, by tam zaginąć, rozwiać się, zniknąć w tumanie mroźnej mgły i niepamięci. Trudno jej było wyobrazić sobie jakieś życie w tej dalekiej, groźnej Syberii.

Ocknęła się z tych przygnębiających myśli i rozejrzała wokół.

Na swoje nieszczęście zobaczyła dwoje ludzi. On, wysoki, postawny, z ciemnymi włosami z lekka przetykanymi siwizną, obejmował szarą, niewielką kobietkę tulącą do siebie jakiś tłumoczek. Obejmował ją gestem, który rozkroił Justynie serce, jeszcze bardziej rozdygotał i rozkleił. Tyle w tym było troski, tyle chęci, by odgrodzić tę drogocenną kobiecinkę od strasznej rzeczywistości, tyle było miłości. Justyna nigdy takiego gestu nie zaznała, choć miała już dwadzieścia pięć lat. Idiotyczny kapelusik („skromny i dziewczęcy”) przewiązany czarną wstążką oznajmiał wszem i wobec jej staropanieństwo.

Nie, żeby nigdy nie widziała błysku zainteresowania w męskich oczach. O, widziała go bardzo często! Ale ten błysk gasł natychmiast lub zamieniał się w lubieżny uśmiezek pod lodowatym tchnieniem słów, które wcześniej czy później paść musiały z czyichś życzliwych ust: „To tylko guwernantka”.

Mężczyzna nachylił się nad swoją kobietką i powiedział coś do niej, a ona podniosła na niego oczy i uśmiechnęła się. Uśmiechnięta była prawie ładna. Jej mąż miał szlachetne rysy, oczy będące samą dobrocią, wysoką, szczupłą sylwetkę i opiekuńcze, szerokie ramiona. Tłumoczek okazał się być niemowlęciem.

Szaleni ludzie – pomyślała – na Syberię z dzieckiem. Wariaci!. Próżno jednak było szukać oznak szaleństwa na ich twarzach. Justyna dostrzegła raczej determinację. W pewnej chwili zorientowała się, że zbyt natarczywie przygląda się obcej parze. Gwałtownie odwróciła wzrok i zobaczyła, że ze znaną jej doskonale maślaną miną, wpatruje się w nią jeden z żandarmów. Kiedy ich oczy się spotkały, spod konopnej czupryny rozszedł się szeroki uśmiech odsłaniający poważne braki w uzębieniu.

– Szlag by to trafił – syknęła wściekła.

– Coś mówiłaś? – spytał jej brat z mało przytomną miną.

– Że przejdę się trochę. Czuję, że muszę się trochę poruszać.

Czeka nas taka długa podróż.

Ukryć łzy! Koniecznie ukryć łzy! Ruszyła w stronę toalety podejrzenie szybkim krokiem. Ale tam też był tłok. Pochyliła się nad umywalnię i zmoczyła twarz. To przyniosło ulgę, ale wewnętrzne rozdygotanie nie ustało.

„Kurwa twoja mać” – powiedziała sobie bardzo głęboko w duchu i pod wpływem tych absolutnie zakazanych słów poczuła tak wielką ulgę i rozluźnienie, że musiała oprzeć się o ścianę.

– Czy pani dobrze się czuje? – zapytała obserwowana przed chwilą kobiecinka, która widocznie przyszła tu tuż za nią. – Musimy być dzielne.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała zbyt ostrym tonem Justyna i dodała łagodniej – dziękuję.

– Cecylia Ojrzanowska – kobieta wyciągnęła do niej rękę. – Poznajmy się, nie będziemy już same i zagubione w tym wielkim świecie.

– Będzie rażniej – dodała, widząc jej wahanie i posłała uśmiech. Nie była taka szara i nijaka, jak wydawało się Justynie na pierwszy rzut oka.

– Justyna Dubiecka.

Wyszły już razem. Justyna z niepokojem szukała wzrokiem brata. Był! Na twarzy malował mu się wyraz cierpienia.

– Przepraszam – rzuciła tylko nowej znajomej i podeszła do niego.

– Musisz gdzieś usiąść, kochany. – Podprowadziła go do niskiego parapetu wielkiego okna. Przysiadł na nim z ulgą. Widać było, że dręczyła go gorączka. Siedział też nienaturalnie wyprostowany z twarzą wykrzywioną bólem.

– Julek! – zawołała Ojrzanowska, która już zdążyła ocenić sytuację. – Jesteś potrzebny.

Podszedł do nich ten sam młody człowiek o kanciastej twarzy, na którego przed chwilą rzucała się w poczekalni rozczochrana

wariatka.

– Co pana boli? – spytał.

– Mam poranione plecy i chyba z tego powodu gorączkę.

– Pan pozwoli, że obejrzę, jestem lekarzem. Może trzeba zdezynfekować, zmienić opatrunek?

– Nie sądzę. Przed wyjazdem opatrzył mnie kolega, dobry lekarz.

Za jakiś czas jednak będę wdzięczny za pomoc.

– Służę panu. A teraz może przynajmniej podam środek przeciwbólowy?

Kanciasty pogrzebał w wielkiej lekarskiej torbie i wyjął jakieś krople.

– Trochę opium nie zaszkodzi. – Odmierzył dawkę i dodał:

– Powinienem się przedstawić. Julian Janicki.

– Marian Dubiecki

Dworcowy dzwon obwieścił, że pociąg zaraz ruszy. Nakazano wsiadać. Bagażowi kończyli upychać liczne walizy i kufry w wagonie towarowym. Ojrzanowscy, Dubieccy i Janicki rozlokowali się na sąsiednich ławkach w niepodzielonym na przedziały wagonie trzeciej klasy. Ohydny zapasek więziennej celi, który na peronie już zdawał się być niewyczuwalny, znowu dał o sobie znać.

Justyna marzyła, by móc się umyć i zmienić odzież. Na razie to było niemożliwe.

Twarde drewniane siedzenia zapowiadały nużącą, niewygodną podróż. Otoczenie przesiąknięte było kolejowym zapachem kurzu i dziegciu. Justyna rozlokowała podręczny bagaż tak, by zostawić sporo miejsca dla walizek Ojrzanowskich i Janickiego.

Wyrzała przez okno. Peron pustoszał. Zostali na nim tylko żandarmi, których misja konwojowania zesłańców właśnie się kończyła.

Przejmą ją inni.